

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 9 kwietnia 1911 r.
Nr. 15.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Wielki tydzień w dawnej Polsce.

Czas przeznaczony na uczczenie pamiątek Męki, Ukrzyżowania i Zmartwychwstania Zbawiciela obchodzili ojcowie nasi z wielkiem skupieniem, nie opuszczając żadnego nabożeństwa. Przykład dawali królowie polscy i ich małżonki. Na przykład Konstancya, żona Zygmunta III, przez cały Wielki Tydzień odwiedzała ubogich i chorych, a w Wielki Piątek obchodziła groby i noc całą spędzała w kościele, aż do pierwszych dźwięków hymnu »Alleluja!«

Wielki Tydzień rozpoczyna niedziela zwana Kwietną albo Palmową.

Dawniej w Niedzielę Palmową aktorowie, mający stałe siedziby w Częstochowie i Krakowie, odgrywali po miastach i wsiach dyalogi o Męce Pańskiej z wielkiem powodzeniem. Najbardziej podobał się »Dyalog Dominikański«, w którym rzecz zaczynała się od wjazdu Chrystusa Pana do Jerozolimy, a kończyła złożeniem Ukrzyżowanego do grobu. — Przetrwały te dyalogi do 1603 r. t. j. do chwili zakazania ich przez biskupa krakowskiego, Maciejowskiego, który je za gorszące uważał.

O wiele dłużej utrzymały się przemowy żaków.

W Niedzielę Kwietną młodzież szkolna, uszykowawszy się we dwa rzędy w kościele, miała przemowę wierszem. Następnie wypowiadali mowy o śledziu, o poście, o biedzie, kołaczach i plackach poświęcanych. Po nich wysuwały się chłopaki miejskie lub ze wsi przybyłe; poprzewdziewali się za pastuchów, pielgrzymów, huzarów, olejkarzy: jedni strój mieli ozdobiony pętlicami, z papieru złotego wysokie kołpaki, za oręż młotek, na długim osadzony kiju; inni wąsy przyprawne i brody z konopi, infuły z papieru, obuchy i szable drewniane. Oni też wygłaszali ucieszne mowy, ale że tem śmiech tylko wzbudzali, który nieprzystojny był tak uroczystej chwili, przeto zabroniono i tego około 1638 r. Potem przez jakiś czas jeszcze — tylko po domach chłopcy wygłaszali swe mowy, przyczem co trzeci wyraz uderzali młotkiem o podłogę.

W Wielki czwartek biskupi i królowie polscy dokonywali pięknego obrzędu umywania nóg starcom, poczem starców podejmowano wieczerzą, przy której usługiwał im król i senatorowie, a wkońcu ich obdarzano. Każdy starzec otrzymywał kompletny ubiór, łyżkę, nóż, widelec (wszystko z dobrego srebra), oraz serwetę z zawiniętym w niej dukatem. Razu pewnego zdarzyło się, że każdy z owych starców miał sto lat przeszło, a jeden aż 125; wszyscy razem liczyli 1300 wiosen życia.

W Wielki Czwartek w kościołach dzwony milkną, miejsce ich zajmują drewniane kołatki. Skoro na wieży odezwała się taka kołatka, chłopcy zaraz rozbiegali się po okolicy i robili niezmierny hałas.

Po wsiach, za dawnych czasów, groby bywały wspaniałe. Tu oto widziałeś morskie bałwany, a wśród nich wieloryba, który co chwila połykał i wyrzucał Jonasza; ówdzie cudowny połów ryb św. Piotra itp. Nadto przed każdym grobem urządzano na wsi ogród z pięknie wzrosłego owsa, rzerzuchy, bukszpanów.

W Wielki Piątek lub Wielką Sobotę grzebano śledzia i żur. Czeladź, uwiązawszy śledzia na grubym, długim powrozie, wieszała go nad drogą, na suchej wierzbie za to, że »przez sześć niedziel panował nad mięsem, morząc żołądki ludzkie słabym posiłkiem swoim«. Barszcz zaś wynosili z kuchen, jako już niepotrzebny. Było to tylko figlem dla nieznającego całej sztuki, bo namawiano takiego, aby garnek z barszczem, w sieci związany, wziął na plecy albo na głowę i niósł go tak, niby do pogrzebu. Za niosącym szedł jeden z rydlem, mający niby to dół kopać dla barszczu i w nim go pochować. Gdy jednak wyszli na dwór, ów z rydlem tłukł garnek, a barszcz oblewał niosącego.

Ot, tak się to modlili i bawili nasi ojcowie i dziadowie, a my, wspominając to, łączymy się myślą z nimi, jako dzieci jednej Ojczyzny.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

11. Namiot w Gaju Palmowym.

Szeik nie wyruszał nigdy bez licznego orszaku, jak przystało księciu i patryarsze. W miastach posiadał on oprócz tego znaczenie jako człowiek bogaty i przez to samo potężny. A miał on nietylko pieniądze, ale także liczną służbę, niewolników, wielbłądy, konie i trzodę wszelaką i woził je zawsze ze sobą.

Pod cieniem drzew w gaju Palmowym rozpięty był długi szereg namiotów. Do własnego użytku szeik miał ich aż trzy: jeden dla siebie, jeden dla gości i jeden dla swych żon i służebnic; w innych mieścili się niewolnicy lub też współplemieńcy, co wraz z nim opuścili piaski rodzinnej pustyni, ludzie silni i odważni, w których ręku koń, łuk i cięciwa były jako posłuszne narzędzia. Życie w gaju Palmowym było wiernym obrazem patryarchalnych obyczajów, jakby życiem pasterzy w starym Izraelu.

Pamiętają czytelnicy, że u progu głównego namiotu pozostawiliśmy Ben-Hura z szeikiem. W jednej chwili otoczył ich liczny poczet niewolników; jeden zdejmował sandały patryarchy, drugi przypadł do nóg młodego Izraelity, rozwiązując jego sznurowane rzymskie obuwie. Inni następnie zdjęli z nich zapylone szaty i ubrali ich w nieposzlakowanej białości tuniki.

— Wejdź w imię Boże i zabierz miejsce! — zapraszał gospodarz łamanym hebrajskim dyalektem i wiódł gościa swego do sofy.

Na dany znak weszła służebnica z miednicą świeżej wody z jeziora, obmyła im nogi i otarła miękkim ręcznikiem.

— Przysłowie arabskie powiada, iż dobry apetyt jest zapowiedzią długiego życia — mówił szeik, głaszcząc długą swą brodę.

— Jeśli tak, żyć będę lat tysiąc! Jestem u twoich drzwi, jako zgłodniały wilk! — odparł wesoło Ben-Hur.

— Tem lepiej, dam ci najprzedniejszą owieczkę z mojej trzody.

Klasnął w ręce. Wszedł niewolnik.

— Idź do gościa naszego, sędziwego cudzoziemca i powiedz mu, że ja, szeik Ilderim, zasyłam mu życzenie, aby spokój jego był jako zdrój czystej wody. I powiedz mu jeszcze — mówił dalej patryarcha — że w progi moje zawitał gość nowy i chce przełamać się ze mną chlebem i że radość napełni serce moje, jeśli u stołu zasiędzie z nami Baltazar mędrzec.

Niewolnik się oddalił.

— A teraz spocznijmy — rzekł Ilderim, siadając na poduszkach z podgiętemi pod siebie nogami, tak jak do dziś dnia siadają kupcy na Wschodzie. Ponieważ jesteś pod moim dachem — mówił, czesząc palcami długą swą brodę — ponieważ piłeś moje wino i wkrótce przełamiesz się ze mną chlebem a także i sól pożywać będziesz, pozwól mi zadać sobie jedno pytanie: Powiedz mi, co jesteś za jeden?

— Czcigodny szeiku! — odparł Ben-Hur, patrząc mu śmiało w oczy — wiedz, czcigodny starcze, że nie jestem Rzymianinem, jak mogłeś sądzić z mego nazwiska.

Z pod spuszczonej głowy Ilderim spojrzał na swego gościa przenikliwie.

— Dalej wiedzieć winieneś, że jestem Żydem z pokolenia Judy i że w sercu mam urazę do Rzymu, z którą w porównaniu twoja jest jako dziecinny kaprys. Nadto, przysięgam ci na zakon, który Pan dał ojcom naszym na górze Synai, że jeśli pomożesz mi do mej zemsty, cały zysk i sława będą twoje.

Ściągnięte brwi Ilderima rozsuwały się powoli.

— Że nie jesteś Rzymianinem, że jako Żyd nienawidzisz i marzysz jeno o zemście nad uciemiężycielem, wierzę ci; lecz chcieć, jest nie dosyć, trzeba *umieć* się zemścić. A ty, czy masz dosyć zręczności, aby kierować rydwanem? Umieszże ty zażyć koni? uczynić je posłusznymi twojej woli, tak, aby pędziły, jeśli im rozkażesz, do ostatniego śmiertelnego wysiłku? Nie jest to rzecz łatwa, mój synu. Znałem króla, co rządził milionami ludzi, a nie umiał okiełznać jednego wierzchowca. Zrozumiej mnie dobrze! Hej! jest tam kto?

Sługa stanął na progu.

— Przyprowadź tu moje konie.

Niewolnik uchylił kotary i ukazały się stojące przy żłobie rumaki.

— Do mnie! — wołał na nich pieszczotliwie Ilderim. — Do mnie, najdroższe moje.

Jakby czekały tylko na to zaproszenie, przedziwne arabczyki, przebierając nożętami, jak tancerki, zbliżyły się do swego pana.

— Synu Izraela! — mówił szeik — Mojżesz wasz był wielkim człowiekiem, lecz śmiać się chce, zaprawdę, gdy wspomnę, iż ojcom twoim wzbraniał dosiadać wierzchowca, a rozkazał używać ciężkiego wołu i przekornego osła. Czy sądzisz, iż wydałby to barbarzyńskie prawo, gdyby zobaczył tego oto, lub tego, albo tamtego?

I, mówiąc to, głaskał i pieścił malutkie, przepiękne główki swych rumaków.

— Niesłuszny to zarzut, bardzo niesłuszny — odparł Ben Hur. — Mojżesz był wojownikiem, równie jak i prawodawcą, a w boju cóż może zastąpić konia, zwłaszcza takiego.

Ben-Hur ucałował cudne zwierzę, co patrzyło na niego słodkiemi, wielkiemi jak u sarny, oczyma, zdając się pytać: coś ty za jeden?

Ilderim patrzył na swe konie z rozrzewnieniem.

— Powiedzą ci może bluźniercy! oby Bóg ujął dni ich i uczynił je krótszymi! — mówił szeik z takiem oburzeniem, jakby odpowiadał na osobistą obelgę. — Otóż, mówić ci będą, że bieguny nasze, najlepszej krwi, pochodzą z Persyi, z pastwisk nizejskich. Kłamstwo bezczelne! Bóg dał Arabowi nieprzebyte piaszczyste równiny z kilku nagiemi skałami i rzekł do niego: »Oto twój kraj«. Upośledzony tak człowiek zaniósł do Pana Boga skargę i Wszechmocny ulitował się nad nim i znowu rzekł: »Bądź dobrej myśli, albowiem obdarzę cię w dwakroć nad innych ludzi«. Arab złożył dziękczynienia Bogu i pełen nadziei poszedł na odszukanie obiecanego błogosławieństwa. I naprzód obszedł granice naokoło, lecz nie znalazł niczego; więc zagłębił się w pustynię i szedł dalej i dalej, aż oto w samem sercu pustyni oczom jego ukazała się zielona wyspa, a w sercu wyspy było stado wielbłądów i drugie stado koni. Arab stanął osłupiały ze szczęścia i z zachwytu a gdy ochłonął i pierwsze wrażenie minęło, przypadł do ziemi i z głębi serca zawołał do Pana: »Dzięki Ci niech będą, o! miłościwy! teraz jam najbogatszy wśród ludzi!« I wziął je radośnie i piastuje je z miłością i staraniem, jako błogosławieństwo Boże. Od tej to zielonej wyspy pochodzą wszystkie konie na ziemi, stąd to dopiero rozeszły się na pastwiska hen, na północ, aż do równin, wystawionych na powiew od zimnych mórz. A jeśli słowa te nie są szczerą prawdą, oby... Zresztą chcesz? Dam ci na to dowody.

Klasnął w dłonie.

— Przynieś mi rodowód stajni — rzekł do wchodzącego na ten znak sługi.

Za chwilę sługa wrócił, niosąc szkatułkę z drzewa cedrowego z bronzowymi okuciami. Szeik, wyjąwszy z zanadrza złoty kluczyk, otworzył ją. Szkatułka była pełna cienkich tabliczek z kości słoniowej, nawleczonych po sto na żelazne obrączki.

Ilderim wziął jednę z takich plik w rękę.

— Wiem — mówił — z jakiem staraniem doktorowie w świątyni w Jeruzalem zapisują nazwiska nowonarodzonych, ażeby każdy z synów Izraela mógł odnaleźć cały szereg swoich przodków, choćby sięgał on aż do patryarchów. I ojcowie moi także prowadzili dokładne regestry, a do regestrów tych wciągali niemych sług i najwierniejszych przyjaciół. Spojrz na te tabliczki.

Ben-Hur wziął je do ręki. — Zapełnione były arabskiemi hieroglifami, wypalonymi na gładkiej powierzchni.

— Czy umiesz to odczytać, synu Izraela?

— Nie. Musisz mi objaśnić te znaki.

— Wiedz zatem, że każda tabliczka nosi imię konia i jego rodziców, dzień i rok urodzenia. Spojrz na te daty, a wierzyć będziesz słowom moim.

Niektóre tabliczki były już nawpół przetarte, wszystkie pożółkłe od starości.

— Dzieje te są wierniejsze — mówił szeik — niźli dzieje ludzkie; każdy fakt stwierdzony tu jest dokumentem. — Mogę ci wyliczyć przez lat tysiąc wszystkich przodków każdego z tych koni. Jak one przychodzą do mnie, tak ojcowie ich przychodzili do moich ojców pod taki oto namiot i jadły owies i daktyle z ich ręki i jak dzieci obsypywane były pieszczotami, dziękując za nie, jak niemowlę spojrzeniem. Ja jestem panem pustyni, a oto moi dostojnicy. Zabierz mi ich, a stanę się jako człowiek chory, porzucony wśród pustyni, aby dokonał żywota. Im winien jestem, że pomimo lat podeszłych, boją się mnie na drogach pomiędzy miastami i bać się będą, dopóki będę miał siłę dosiąść tych koni. Żaden jeszcze koń dotąd nie prześcignął ich w biegu, ani też dosięgnął w pogoni; lecz zauważ dobrze, że było to przed siołem, na piaskach pustyni. Teraz boję się o nich, gdyż pierwszy raz mają biegać w jarzmie, a tu wiele zależy od woźnicy. Synu Izraela, jeżeli jesteś człowiekiem, jakiego mi potrzeba, szczęśliwy zaiste jest dzień, w którym zawitałeś pod mój namiot. Na ciebie teraz kolej. Mów.

— Nie chcę, dobry szeiku, abyś mnie sądził jedynie ze słów moich, albowiem, jak wiesz, obietnice ludzkie, to nieuchwytny powiew wiatru. Chcę ci raczej dać próbkę mojej zręczności i siły. Powierz mi jutro swoją czwórkę. Konie te, choć każdy z osobna ma siłę lwa i szybkość orła, nie odpowiedzą twoim nadziejom, jeśli wszystkie cztery razem nie będą się wprawiać do jarzma, bo — pamiętaj to sobie — w każdej czwórce znajdzie się choćby jeden leniwszy, a gdy bystre biegną do zwycięztwa, leniwy ciągnie je ku porażce. Tak było dzisiaj. Woźnica nie umiał ich zrównoważyć. Ha! może i ja nie potrafię, lecz skoro tylko to spostrzegę, wycofam się sam, przysięgam! Jeśli zaś zdołam narzucić im swą wolę i wszystkie cztery biegać będą, jak jeden, ty weźmiesz pieniądze i wieńce, ja nasycę moją zemstę. co jak zgłodniały szakal pożąda krwi.

Ilderim przysłuchiwał się słowom młodzieńca z widocznem zadowoleniem.

— Więcej o tobie tuszę, synu Izraela, niż ty sam — rzekł wreszcie. — Wierzę ci, młodzieńcze, bo mi niczego nie obiecujesz. Jutro będziesz mieć moje konie.

Za drzwiami namiotu dał się słyszeć stuk kroków.

— Oto nadchodzi przyjaciel mój, Baltazar — rzekł, powstając, Arab. — Posłyszymy wieści, które syn Izraela pić będzie z ust jego, jako niebiański napój dla ust spragnionych. Zabierzcie te regestra — zawołał na służbę i, ucałowawszy swe rumaki, kazał je zaprowadzić napowrót przed żłoby.

Właśnie wnoszono wieczerzę.

12. Wieczerza pod namiotem.

Przed sofami rozesłano trzy maty; na nich niewolnicy postawili niziutki stół. Na boku, przy rozpalonem ognisku, służebnica wypiekała chleb i pszenne ciasto. W sąsiednim namiocie ręczne żarna mełły do niego mąkę, słychać było ich zgrzyt i łoskot.

Baltazar ukazał się na progu, Ben-Hur i Ilderim powstali na jego przyjęcie. Powłóczysta czarna szata okrywała jego zgrzybiałą postać; kroki jego były niepewne: opierał się jedną ręką na kiju, drugą na ramieniu niewolnika.

Na widok sędziwego starca, co był zwiastunem świętej nowiny, Ben-Hur uczuł w sercu wielkie wzruszenie. Oczy jego wpiły się w pomarszczoną twarz Egipcyanina, chcąc z niej wyczytać słowo niepokojącej zagadki, ale oblicze to było nieprzeniknione, a dziwnie słodkie i spokojne.

— Oto jest ten, co przełamie się z nami chlebem — rzekł szeik, kładąc rękę na ramieniu Ben Hura.

Baltazar spojrzał na młodzieńca. W oczach jego odmalowało się zdziwienie.

— Obiecałem mu dać jutro konie moje na próbę — mówił dalej Ilderim — a jeśli próba się uda, poprowadzi je do zwycięztwa na cyrkowej arenie.

Baltazar nie spuszczał oczu z młodzieńca.

— Przychodzi z najlepszemi poleceniami — mówił szeik, zaniepokojony spojrzeniem swego druha — przedstawiam ci go jako syna Arriusa, co był szlachetnym rzymskim wojownikiem i marynarzem. Młodzieniec jednak Rzymianinem nie jest; mieni się być Izraelitą z pokolenia Judy.

Baltazar zwrócił się do Ilderima.

— Nie dziw się — rzekł — iż przypatruję się tak ciekawie twemu gościowi. Objaśnię ci zaraz powód. Dziś życie moje było w niebezpieczeństwie i byłbym je utracił, gdyby młodzieniec jakiś... żywy obraz tego, jeśli zaprawdę nie jest to ten sam... własną piersią nie zasłonił mnie od śmierci. Powiedz, czy to nie ty? — rzekł, zwracając się do Ben-Hura.

Młodzieniec zmieszał się.

— Tak — odparł z wielką skromnością i szacunkiem — jestem tym, który przed źródłem Kastalii wstrzymał konie zuchwałego Rzymianina w chwili, gdy nadjeżdżały na twego wielbłąda. Córka twoja dała mi za to ten oto kubek.

I wyjąwszy kubek z zanadrza, podał go Baltazarowi. Promień radości oświecił zwiędłą twarz Egipcyanina.

— Pan zesłał mi ciebie dziś przy źródle — mówił głosem drżącym od wzruszenia — i teraz mi zsyła cię znowu, abym mógł okazać ci moją wdzięczność.

— Jakże to było? — pytał zaciekawiony szeik.

Egipcyanin opowiedział zdarzenie u źródła.

— Jak to! i nie wspomniałeś mi nawet o tem, gdy lepszego świadectwa o sobie dać mi nie mogłeś! — mówił Ilderim z wyrzutem. — Gdzież masz się udać po nagrodę, jeśli nie tutaj?

Na drażliwe to pytanie szeik oszczędził młodzieńcowi odpowiedzi.

— Chodźcie — rzekł do swych gości — wieczerza już gotowa.

Ben-Hur podał Baltazarowi ramię i poprowadził go do stołu. Zasiedli wszyscy trzej na rozłożo-

nych na ziemi matach. Słudzy wnieśli wodę i ręczniki. Po umyciu rąk szeik dał znak — głos Egipcyanina wzniósł się pełen namaszczenia.

— Ojcze wszystkich, Boże! Wszystko, co mamy, jest Twojem, przyjm nasze dziękczynienia i błogosław nam, abyśmy mogli dalej spełniać świętą Twoją wolę!

Była to modlitwa, którą przed wielu laty odmawiali na pustyni Gaspar Grek, Melchior Hindus i Baltazar Egipcyanin, wszyscy trzej jednosłownie w trzech różnych i nieznanych sobie językach, co było dla nich znakiem widomym Boskiego objawienia.

Wieczerza, do której zasiedli po odprawieniu modlitwy, była obfita, jak tego można się było spodziewać po gościnności i bogactwie szeika. Gdy służba podała owoce i zdjęła obrusy, po umyciu ponownem rąk, biesiadnicy, nasyceni już dostatecznie, nabrali ochoty do rozmowy.

W towarzystwie takiem: Greka, Żyda i Egipcyanina, wszystkich trzech wyznawców jedynego Boga, mógł być w epoce owej jeden tylko przedmiot rozmowy, a któż inny mógł zabrać głos, jeśli nie ten, co słyszał głos z nieba, co widział gwiazdę Przedwiecznego na wschód słońca i wiedziony nią, oglądał Boga twarzą w twarz? A o czemżeby mówił, jeśli nie o tem, czego świadectwo miał dać całemu światu?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gdzie szczęście?

Gdzie jest szczęście, mój bracie?
W twojej własnej jest chacie,
Pod twą strzechą rodzinną się mieści —
Kiedy masz swój kęs chleba,
Cóż ci więcej potrzeba,
Choć Bóg zsyła i krzyże, boleści?

Twoja dziatwa jest hoża,
Wielka łaska to Boża,
W ich oczętach twe szczęście niech gości.
A gdy skrzętność i praca
W pożytek się obraca,
Masz dom pełen wesela, radości.

Masz i żonę od Boga,
Z nią ci milsza jest droga,
Z nią ci milsze są trudy i znoje —
Ona wspólnie pracuje,
I szczęśliwą się czuje,
Gdyście w zgodzie — miłości oboje.

Miłość, zgoda i praca
Życie nasze ozłaca —
A gdyś trzeźwy, oszczędny, mój bracie,
To twe modły do nieba
Wyjednają, co trzeba —
Bóg ci szczęścia użyczy w tej chacie.

Jeno w sercu miej Boga,
Chodź, gdzie prosta jest droga, —
Miłuj ziemię rodzinną — swą strzechę...
Cnoty trzymaj się, bracie,
Szczęście znajdziesz w swej chacie,
Znajdziesz spokój, swobodę, pociechę!

Franciszek Marzec.

Gawędy o różnych sprawach.

O wyzysk wychodźców.

W ubiegłym tygodniu skończył się w Krakowie przed trybunałem przysięgłych ciekawy, chociaż niestety bardzo smutny proces. Jest on ważnym dla włościan i robotników wychodźców, którzy wychodzą na robotę za kraj, nie wiedzą, gdzie się udać o pomoc i poradę i często wpadają, namówieni przez ajentów, w sieci nieuczciwego Towarzystwa.

Takiem szkodliwem Towarzystwem, jak wykazała rozprawa, jest Towarzystwo emigracyjne, nadużywające imienia św. Rafała, którego kierownikiem, (przykro to mówić), jest kapłan i do niedawna poseł do parlamentu, mianowicie ks. Szponder.

Sprawa tak się przedstawia: Dyrektor Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, które jest rzetelne i zajmuje się szczerze i gorąco dolą polskiego wychodźcy i służy mu pomocą tak, że dopłaca jeszcze z własnej kieszeni do tych rad i pomocy, w piśmie swem p. t.: »Przegląd emigracyjny«, zarzuciło ks. Szpondrowi, kierownikowi Towarzystwa św. Rafała, że wyzyskuje wychodźców i działa na ich szkodę. Mianowicie Polskie Towarzystwo Emigracyjne zrobiło ks. Szpondrowi ciężki zarzut, że jest, jak się to mówi, naganiaczem Tow. okrętowego »Atlantic-Express« i że stoi w służbie zbankrutowanego towarzystwa żeglugi parowej »Worth Western Line« i że przedsiębiorstwo skutkiem niewypłacalności czyli bankructwa i skutkiem zasekwestrowania mu dwóch parowców, pozostawiło 16.000 wychodźców na bruku wraz z zakupionymi przez biednych ludzi biletami jazdy. Za te nieważne karty okrętowe wychodźcom tym nie zwrócono pieniędzy i przez to ponieśli ogromne straty. Dalej zarzucono ks. Szpondrowi, że bez posiadania uprawnienia trudni się handlem kart okrętowych i wysyła wychodźców na linię okrętową, która jest zła i najdłuższa i której rząd austryacki surowo zabronił, dalej, że wychodźcom Towarzystwo św. Rafała nie wystawia żadnych kart okrętowych, ani też żadnych pokwitowań, skutkiem czego zbałamucony chłop płaci tyle, ile żądają, nie mając możności sprawdzenia wiele zapłacił. I jeszcze dalej Polskie Towarzystwo Emigracyjne zarzuciło Towarzystwu św. Rafała i ks. posłowi Szpondrowi, że popełniał nadużycia przy pobieraniu pieniędzy za karty okrętowe, oraz że wysłał do »Atlantic Express« dwudziestu kilku wieśniaków, od których pobrał za każdą kartę okrętową po 100 koron więcej, niż się należało.

Ks. Szponder bardzo się tem obraził, i myśląc, że tych strasznych zbrodni nie będzie można mu udowodnić, zaskarżył dyrektora Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego p. Okołowicza o obrazę czci.

Dyr. Okołowicz powiedział jednak, że wszystkie zarzuty przeciw ks. Szpondrowi są prawdziwe i że to udowodni. I rzeczywiście udowodnił. Rozprawa trwała trzy dni i sąd przysięgłych uwolnił oskarżonego dyrektora Okołowicza od winy i kary, bo udowodnił ks. Szpondrowi te wszystkie ubliżające zarzuty, jakie mu uczynił. Tak więc, sąd uznał, że słusznie p. Okołowicz przezwał ks. Szpondra »hyena emigracyjna« i »naganiaczem«.

Teraz wszyscy będą wiedzieli, jakie to jest Towarzystwo emigracyjne św. Rafała i kto niem kieruje. Niestety, ogromnie to smutne, bo to przecie, jakby na urągowisko i bluźnierstwo, nieuczciwe to Towarzystwo wzięło sobie za patrona Świętego Pańskiego, a następnie ogromnie smutne dlatego, że ma takiego kierownika w osobie księdza i posła.

ZDRAJCA JEZUSA — JUDASZ.



Judasz wlókł się od progu domu Barabasza, wśród winnic i drzew oliwnych. Zły był, że go odtrącili kapłani, rzymianie, uczniowie, lud i przeklęty żyd, włóczący się po drogach. Zły był, ale uważał to za słuszne. Nie mógł jednak znieść tego, że zbrodniarz, Barabasz, wyrzucił go ze swego domu, że wzgardził nim: była to zniewaga okrutna!

Nienawiść do Chrystusa potęgowała się w Judasza sercu. Ten Umarły był winien, że musiał znosić tyle hańby! Cieszył się, że Go zdradził, uśmiechał się na myśl męczarń, których był niewidzialnym świadkiem, rachował rany, zadane biczowaniem, policzki, ciernie i gwoździe.

Potem szarpał nim żal, że tego Ukrzyżowanego, drogiego całemu światu, wydał w szpony synagogi za tak marną cenę.

— Wart był przynajmniej sto srebrników — szeptał — kapłani oszukali mnie podle!

Groził pięściami niebu, zasianemu gwiazdami. Paliła go gorączka i pragnienie; zwrócił się do gaju oliwnego, w nadziei, że w swym cieniu kryje źródło. Wiatr szumiał łagodnie, poruszając liście. Judasz czuł się nieco orzeźwionym. — Nagle krzyknął przeraźliwie, jak zraniony zwierz lub rozbitek tonący, padł na kolana, przyciśnięty do ziemi niewidzialną siłą.

Poznał gaj oliwny, w którym przeszłej nocy, w otoczeniu zbrojnych zbirów, pocałował w czoło Syna Bożego.

Czołgając się, wyszedł z ogrodu oliwnego i błądził w samotności; o niczem już nie myślał, niczego się nie spodziewał, chciałby spotkać szatana, upadłego archanioła, aby go wzruszyć swą bezmierną nędzą.

W dali dwie smukłe palmy spuszczały długie warkocze na ocembrowanie studni, w pustem polu. To studnia Jakóba, której woda poświęcona została słowami Jezusa.

Judasz nie miał już sił uciekać od tej świętej pamiątki, upadł przy cembrowinie, a ponieważ wiadro nie było przywiązane do łańcucha, spuścił głowę do otworu, by mógł oddychać świeżością wody.

* * *

Między dwiema palmami zamigotał niewyraźny cień. Młoda dzieweczka, ubrana biało, okryta białą zasłoną, trzymała w ręce gliniany dzban, wsparty na prawem ramieniu.

Judasz podniósł głowę i szepnął:

— Pragnę!

Dziewczyna zadrżała, jakby na widok dzikiego zwierza.

— Pragnę! — powtórzył.

— I On także — odparła — Prorok, któregoś wydał, wołał z wysokości krzyża: »Pragnę!« a rzymscy żołdacy podali mu gąbkę napełnioną żółcią.

Spuściła dzban do studni, potem wyciągnęła go, napełniony przeźroczystą wodą; spadające krople błyszczały, jak drogie kamienie.

Judasz milczał, drżał wobec tego dziecka, i wyciągał do wody spalone wargi.

Pochyliła się ku niemu.

— W imię Jezusa i dla Jego miłości bierz i pij.

Gdy się napił, podźwignęła dzban i odeszła.

Duszę Judasza rozjaśniła fala światła. Jednym rzutem oka zmierzył bezmiar swej zbrodni i głębokość upadku. Dobroć dziewczęcia objawiła mu tajemnicę, w którą nie wierzył — strach przed świętokradztwem wstrząsnął jego sercem.

— Któż zatem jest ten Ukrzyżowany, który ręką dziecka zlewa na moją głowę balsam miłosierdzia?

Długo siedział wsparty o cembrowinę studni. Uparta myśl nieustannie powracała, nie przynosząc pocieszenia, lecz odnawiając niewysłowiony ból.

Opodal na wzgórzu stało uschłe drzewo figowe. Nagle zerwał się, pobiegł do drzewa, rozciągnął na ziemi czerwony płaszcz, rzucił trzydzieści srebrników, rozwiązał sznury zawoju i powiesił się na najgrubszej gałęzi.

Czerwony płaszcz u stóp Apostoła wyglądał jak krwawa plama. Szakal ułożył się na nim i usnął.

Z pierwszym brzaskiem dnia wielki sęp unosił się ponad szubienicą Judasza.

Tak skończył zdrajca Pana Jezusa.

Humor cygana.

Zdarzył się raz taki wypadek. Coś tam przeskrobał cygan, a musiało to być coś grubszego, bo sąd w Cieszynie skazał go na śmierć przez powieszenie. I już stoi na wzgórzu szubienica, a koło niej gromada ludzi. Pod samą szubienicą cygan, któremu jeszcze raz odczytuje sędzia wyrok śmierci. »A teraz, zwraca się sędzia do cygana, powiedz, jakie masz jeszcze życzenie przed śmiercią?«

— Panoczku — mówi cygan swym połamanym językiem — żeby mi tyż wolno było zahajdakować (zatańczyć).

— A to sobie zahajdakuj — odrzekł sędzia.

I cygan zabrał się do hajdukowania, wywija nogami na wszystkie strony, przysiada i goni tak w kółko. Ludzie się rozstępują, kółko robi się coraz to większe. Z cygana już się woda leje, ale hajdukuje zawzięcie, nie zważa na nic, tylko kółko robi się coraz większe, bo cygan hajdukuje. Upatruje tylko, gdzie jest najmniej ludzi i w jednej chwili wyprostował się i dalej w nogi. Wszak ucieczka, to nie najgorszy wynalazek.

I pędzi cygan naprzód, ile mu sił starczy; ledwie już dyszy, ale pędzi i pędzi bez upamiętania.

Ale cygan jak cygan, mimo niebezpieczeństwa nie traci humoru. Spotyka gromadkę ludzi, dążących spiesznie ku Cieszynowi.

— A gdzie wy to idziecie? — zapytuje cygan.

— A do Cieszyna — odpowiadają mu — idziemy się popatrzeć, bo tam mają cygana wieszać!!

— O! idźcie ta idźcie, z Panem Jezusem — mówi cygan — ale się ta bezemnie nie obejdzie!

I ucieka dalej, a strach dodaje mu sił. Gdy już czuł się trochę bezpieczniejszym, napotkał chałupę, wszedł do niej i prosi.

— Goszpodarzyczku! dozwólcie mi odpocząć, bom sztraśnie zmordowany!

I ulitował się gospodarz nad dyszącym cyganem, który już tymczasem położył się na ziemi, i rzucił mu zagłówek, żeby mu było miękcej.

Cygan położył zagłówek pod nogi, a głowę na ziemi.

— A ty psio paro pogańsko! — woła gospodarz z gniewem — Toś ty zagłówek dał pod nogi? A pudzies!

— E! goszpodarzyczku! — mówi cygan — nie gniewajcie się, żeby nie te nogi, gdzieby była głowa?!

Nie-góral.

Rozwiązanie parlamentu i wybory.

Wszędzie jakoś parlamenty niedomagają, jakby były trawione jakąś wewnętrzną chorobą. Tak się dzieje z parlamentem rosyjskim, tureckim, francuskim, włoskim, a nawet angielskim, na którym się wzorowały wszystkie parlamenty świata. Najgorzej, zdaje się, jest jednak z parlamentem austryackim, rozbitym na małe grupki, walczące ustawicznie między sobą, zamiast myśleć o dobru państwa i ludności. Do tego wśród tych stronnictw panuje taka zapalczywość, że żadne z nich na źdźbło nie chce drugiemu ustąpić. I tak: wielkie stronnictwa walczą z wielkiemi, a w łonie zaś każdego z nich powstają drobniutkie partye, borykające się ze sobą. Nawet i Koło Polskie rozbite jest więcej niż kiedykolwiek na liczne stronnictwa; wystarczy je tylko wyliczyć. Otóż najprzód są tam najsilniejsi ludowcy, którzy liczą 19 posłów, potem demokraci 13 posłów, narodowo-demokraci 19 posłów, konserwatyści mają 8 posłów, centrowcy 6, stojałowczycy 5, »dzikich« czyli bezpartyjnych jest 4 posłów, a więc razem w całem Kole polskiem jest 71 posłów. Mimo tych licznych stronnictw Koło polskie dotąd na zewnątrz, gdy chodziło o sprawę narodową występowało zawsze jako jedno stronnictwo i to było dobrze, gdyż inaczej stracilibyśmy w parlamencie wszelkie znaczenie.

Niedawno zwołano parlament na nową sesyę, lecz zaraz na początku okazało się, że ten parlament z powodu niezgody wielkich stronnictw nie potrafi pracować. Więc cesarz naprzód odroczył Radę państwa, a wkrótce rozwiązał, tak że parlamentu ani posłów obecnie w Austryi niema, choć jeszcze dwa lata mógł istnieć, nimby się mandaty poselskie skończyły.

Obecnie zatem na ustach wszystkich, nietylko polityków i agitatorów, ale także obywateli, którym dobro powszechne leży na sercu, są tylko wybory do nowego parlamentu, które się rozpoczną prawdopodobnie 13 czerwca. Dla Galicyi będzie ogłoszony osobny termin wyborów w połowie czerwca, już jednak »hyeny« wyborcze wnet rozpoczną agitacyę za tymi kandydatami, którzy im lepiej zapłacą. Pouczeni doświadczeniem powinniśmy się jednak strzedz takich agitatorów i wybierać posłów mądrych, którychby głos w parlamencie coś znaczył i takich, którzy zobowiążą się należeć do Koła polskiego i słuchać jego uchwał, bo w tem leży jedyna nasza siła, abyśmy razem szli jedną ławą, gdyż inaczej nas Niemcy i Czesi zjedzą. Nadewszystko zaś powinniśmy wybierać posłów uczciwych, czystych jak szkło, nieprzekupnych, nie robiących interesów na posłowaniu, abyśmy się za nich nie musieli wstydzić i aby nam u obcych hańby nie przynieśli. Dla rolników najlepiej, jeśli posłami są rolnicy, bo oni najlepiej sprawy wiejskie rozumieją.

Teraz, kiedy parlamentu niema, rząd austryacki rządzi na podstawie § 14 konstytucyi austryackiej, bo inaczej w całem państwie, pozbawionem dochodów, które mu dawał parlament, powstałby zastój i wielki nieporządek. Takie rządy, jakie teraz są, przypominają czasy absolutystyczne, kiedy monarcha sam rządził i od jego skinienia palcem zależało wszystko. Naturalnie że mimo zastosowania § 14 w Austryi nie przyjdzie do takich czasów, jakie niedawno były, a można powiedzieć, że jeszcze są w Rosyi i Turcyi, bo całe społeczeństwo jest wychowane w konstytucyi, i przyszły parlament, skoro będzie zebrany, pociągnąłby ministrów za to do odpowiedzialności.

POWRÓT Z JARMARKU.



Zbliżają się święta Wielkanocne, czasby więc pomyśleć o zakupach rozmaitych na owe uroczyste dni. To też każda gosposia przemyśliwa nad tem, skądby wziąć trochę grosza, aby udać się do miasteczka i co najpotrzebniejsze rzeczy przywieźć do domu. A więc jedna przez cały post zbierała jaja i niesie je do miasta, aby za uzyskane pieniądze kupić mąki i innych drobiazgów; druga, zamożniejsza, bierze trochę zboża; inna zaś ciężko zapracowane grosze wywięzuje z węzełka i robi zakupy.

Od wczesnego ranka idzie, jakby procesya jaka, pstry sznur kobiet w stronę, w której leży miasteczko, a gdzie wszystkiego dostać można. A gdy tylko gosposie nasze znajdą się u celu swej podróży, zaczyna się targ, aby jak najkorzystniej spieniężyć swoje produkta. Zaraz na wstępie opada je gromada pejsatych kupców, którzy wszelkimi siłami starają się towar ganić, przyczem pomagają sobie krzykiem, w którym są znakomicie wyćwiczeni. Potrafią oni nieraz tak zagmatwać i otumanić biedną kobiecinę, że ta sprzedawszy rzecz jakąś nawet poniżej rzeczywistej wartości, cieszy się jeszcze, że interes skończyła, że raz już przykry targ ukończony.

Zdarza się często, że niejedna z owych gospoś wstępuje z kumosią do szynku, aby gardło zapłukać. I znowu usłużny żydek jest na zawołanie: gładzi brodę, uśmiecha się uprzejmie, a tak mile zachęca, że po jednym kieliszku następuje drugi, trzeci i czwarty. Tymczasem przy kieliszku i pogadance czas zbiegnie szybko, słońce chyli się ku zachodowi, a tu trzebaby jeszcze porobić zakupy świąteczne.

Ze święconem idzie prędko, ale znacznie wolniej uskutecznia się inne zakupy, które my, niestety, dotychczas przeważnie u żydów załatwiamy. Za chusteczkę, która warta koronę, żyd żąda dwie, a kupująca czuje się zadowoloną, gdy ją za półtorej dostanie. I tak zawsze i tak ze wszystkiem. Żydzi cenią a my niby się to targujemy, ale za wszystko płacimy powyżej wartości.

Jakiż tego powód? Nie inny tylko ten, że zrośliśmy się już ze zwyczajem targowania się a u katolika jakoś to nie uchodzi. Żydzi, widząc to nasze zamiłowanie, cenią wszystko niemożliwie wysoko i robią na tem bardzo dobre interesa.

Po skończonym targu udają się kobiety z powrotem do domów. Zakupy ciążą niejednej, bo i główka u niejednej zawrócona. Często gęsto i w powrotnej drodze z miasta można się natknąć na usłużnego żydka. Oto i na obrazku u góry umieszczonym, widzimy usłużnego arendarza, wracającego również z targu, który po drodze zabiera na swój wóz wracające z miasta. On wie, że na grzeczności nie straci. Na drugi dzień, gdy pójdzie przez wieś, to ta i owa wsunie mu do worka to kawał płótna, to garniec zboża, to inny jakiś podarunek, aby i żydzisko miał wynagrodzenie za swą usłużność.

Jakiż wynik ostateczny z tego wszystkiego? Oto nie inny tylko potrójna strata dla naszych gospodyń, bo strata przy sprzedaży, strata przy kieliszku i strata przy zakupach. A dzieje się to wszystko dlatego, żeśmy przywykli wszystko żydom sprzedawać i wszystko u żydów kupować, zamiast popierać Kółka rolnicze, zamiast kupować u chrześcijan, zamiast tworzyć spółki handlowe i sklepy katolickie. A potem narzekamy, że nas bieda gniecie, jakbyśmy nie my sami byli temu winni.

Sprzedaż konia.

(Humoreska).

Żył w pewnej wsi Maciek Gąsior, a był taki figlarz, że mu nikt nie dorównał, a najbardziej żydów nie lubiał i płatał im figle.

Jednemu żydowi najbardziej dokuczył. A było to tak. Jechał Maciek z jarmarku na ślicznym koniu. Droga wypadła mu koło karczmy. Gdy zajechał przed karczmę, Jankiel, karczmarz, zaraz do niego: Ny, Maciek, sprzedaj mi konia, dam ci 50 reńskich i wódki dla świadków i zgoda.

— Nie, Jankielu — odpowiada Maciek — ja ci dam konia za darmo, ale i 25 kijów za darmo.

— Ny, Maciek, czyś ty głupi?

— Nie, głupi nie jestem, chcesz, to dobrze, a nie, to jadę do domu.

— Czekaj, aż się namyślę — mówi żyd.

— Na namysły nie mam czasu.

— Hm... dwadzieścia pięć kijów, to można człowieka zabić. Może ty co opuścisz?

— Nie opuszczę ani jednego kija — odparł Maciek.

— No, cóż mam czynić, ja biedny karczmarz. i muszę coś zarobić, ale musimy napisać kontrakt, żebyś mnie nie oszukał.

Maciek zgodził się chętnie i napisano taki Kontrakt sprzedaży:

»Ja, niżej podpisany, odstępuję mojego konia Jankielowi, skoro tylko tenże dostanie odemnie dwadzieścia pięć kijów.

Maciek Gąsior.

Umowę tę przyjmuję dobrowolnie i pozwalam sobie wyliczyć ilość kijów przez Maćka za konia żądaną.

Jankiel, karczmarz.

Świadkowie: *Bartłomiej Wilczek*, wójt. *Szymon Zubek*, radny«.

Gdy umowa stanęła, wynieśli ławę, Jankiel się położył a Maciek zaczynał.

— Raz — aj waj! — Dwa — aj waj! — Trzy, cztery, pięć — aj waj! Macieju, może będzie dosyć — wrzeszczy żyd.

— Jak ta kcesz — mówi Maciek — ale konia nie dam.

— Bij już bij, już tylko dwadzieścia.

Maciek walił karczmarzowi kij po kiju i rachował. Świadkowie rachowali również dla sprawiedliwości.

— Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

— Ile dostał? — pyta Maciek.

— Dwadzieścia cztery — zawołali świadkowie.

— No, to dosyć!

Jankiel porwał się z ławy z okrutnym jękiem.

— Ny, Maćku, niech ci Bóg nie pamięta! nie żałowałeś kija. No, dawaj konia.

— Jak to konia?

— Ny, konia! przecież to już mój koń!

— Czy ci się we łbie przewróciło? — śmieje się Maciek.

— Co? co? czyś nie podpisał kontraktu?

— Panie wójcie, jak tam stoi w tym kontrakcie?

— Stoi tak, że jak karczmarz dostanie dwadzieścia pięć kijów, to koń jego — odpowie wójt na to.

— A wieleż ja mu dał?

— Dwadzieścia cztery — odparł wójt.

— Dwadzieścia cztery, to nie dwadzieścia pięć, jak dostanie dwadzieścia pięć, to sobie konia weźmie — wyrzekł poważnie Maciek.

— Ny, a czego nie dajesz dwódziesty piąty kij? — woła żyd.

— Bo teraz nie mam czasu — rzekł Maciek i wsiadł na konia.

— Co to jest?! Gewałt! Rabuśnik! Dawaj mi dwudziesty piąty kij — wrzeszczy żydzisko, ale Maciek odparł hardo.

— Ho! ho! nic z tego nie będzie! Czekaj sobie do sądnego dnia!

— Panie wójcie — zwraca się zrozpaczony żyd do wójta — co on gada?

— Dobrze ci tak łakomcze! — odrzekł wójt i oddalił się do domu, a Maciek również to samo uczynił, wołając tylko z drogi do żyda.

— Złapałeś dwadzieścia cztery, to bądź kontent, a tego jednego, to mi już podaruj.

Jankiel krzyczał i lamentował, ale na nic się to nie przydało. Trzy dni leżał, a czwartego dnia poleciał do sądu ze skargą, lecz tam się tylko wyśmiali z jego łakomstwa, bo kontrakt był dobry i nic nie było można przeciw niemu powiedzieć.

Franciszek Gruszka.

Skąpiec i złodziej.

Przed kilku laty zdarzył się następujący wypadek:

Sprzedał chłop na jarmarku dwa woły a złodziej, wypatrzywszy, że ma pieniądze, postanowił mu je jakoś wykraść. W tym celu chodził za chłopem krok w krok, nie spuszczając go z oka. Chłop, pokręciwszy się po mieście, zabrał się do domu, a złodziej za nim.

Po drodze złodziej wstąpił jeszcze do przydrożnej kaplicy i tam się modlił, ażeby Pan Bóg dopomógł mu jakim lekkim sposobem chłopu pieniądze skraść. Chłop przyszedł do domu a złodziej za nim pod okno podpatrzeć, gdzie będą pieniądze.

Tymczasem inaczej się stało. Jak chłop wszedł do izby, tak dzieci zaraz go obskoczyły, domagając się jakiegoś upominku z jarmarku. Ale ów chłop był skąpiec okropny, więc zaczął się wymawiać, że jarmark się już rozchodził i już wtedy nie było co kupić.

— To kiedyście nam nic nie kupili, to nam choć dajcie po grajcarusiu — domagają się dzieci.

Ojciec się im znów wymawia, że to nie jego pieniądze, tylko »lalowe«. Otworzył więc okno i woła: »Lala! ne, pieniądze, ne, ne. Złodziej, który to zaraz zauważył, łap za pieniądze i w nogi. Chłop narobił krzyku i wybiegł za nim, ale ze złodzieja ani śladu. Korzystając z cieniów nocy, uciekł, nawet nie podziękowawszy chłopu za nie.

Stefan Cupryś.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

O południowej porze ku leży hajdamackiej zbliżał się jeździec, niecierpliwie konia popierając. Z pod czapki wysokiej, kosmyki włosów mu się wysuwały białe, twarz miał pomarszczoną, wyschłą, zgoła starowina był wiekowy.

Poznajemy w nim napotkanego w pierwszych rozdziałach powieści naszej, Zachara ze Stepanowa, słynnego w owej okolicy znachora, który tak zręcznie potrafił Karskiego z rany wyprowadzić. Jechał sam, na koniu trzymał się prosto, dziarsko, zdaleka niktby nie odgadł starca.

Snać dobrze znał drogę, bo jechał śmiało, kierował koniem pewnie. Zoczywszy słupy dymów pośród drzew, odetchnął lżej, kolanami rumaka do biegu przysporzył, coś mruknąwszy niezrozumiale.

Gromada hajdamaków, jak zazwyczaj, biesiadowała swobodnie, rozpasana od pewnego czasu bezczynnością i rozzuchwalona powodzeniem, nie troszczyła się o przedsiębranie środków ostrożności jakichbądź. Straży nawet nie rozstawiano do koła, tak wszyscy pewni byli bezpieczeństwa. Stary dostał się do obozowiska, nie będąc przez nikogo zauważonym. Konia u drzewa uwiązał, sam postąpił do jednego z leżących na wytartej opończy chłopa, który podpiwszy, od świtu snać spoczywał półsenny.

— Hej! hej! — rzekł do niego — gdzie wasz ataman?

— Gdzie ma być? W chacie.

— Wskażże mi drogę.

— Ślepyś albo? — mruczał chłop. — Prosto nosa idź to i trafisz.

— Bydlę! — pogardliwie szepnął Zachar.



Patrzył na żal staruszka Hriszka.

Nie pytał już nikogo więcej, dojrzał chatę atamana i wprost ku niej skierował.

Na progu spotkała go żona Hriszki.

— Naścia, zdrowo mi witaj — ozwał się stary łagodnie.

Ta stanęła, spojrzawszy na mówiącego, z krzykiem do nóg mu się rzuciła, kolana obejmując.

— Did Zachar! Wy tu?! — zawołała radośnie.— A skądże? a jak? a z czem?

— Hriszka w chacie? — podnosząc ją z ziemi zapytał starzec.

— Jest, jest didu — bełkotała baba wzruszona do łez. — Ot dzień świąteczny, ani się spodziewa chłopisko, jakiego mu gościa sprowadził.

Weszli oboje do wnętrza — baba przybyłego oznajmić chciała, lecz ten oparł się. Tak jak z konia zsiadł do izby atamana wszedł. Leżał Hriszka na tapczanie półsenny, nie spojrzał na wchodzących, ani nawet zapytał kto wchodzi.

— *Sława Isusu, Synu Bożiemu!* — ozwał się Zachar.

— A? — porwał się nagle hajdamak. — Baba, kogożeś mi na kark znowu zwaliła?

— Batku, toć did Zachar nasz, nie poznajesz? — w ręce uderzywszy, zawołała żona.

Hriszka leniwo na nogi się podniósł.

— Did Zachar — powtórzył — prawda! Chociaż nareszcie ojca rodzonego wspomnieli.

Siadł staruszek, skinieniem Nastkę oddalił.

— Byłbym ja o tobie pamiętał, gdybyś innym człekiem był — rzekł z westchnieniem.

— Albożem nie człowiek? — lekceważąco mruknął Hriszka.

— Człowiekiem jesteś, ale człowiekiem złym, niegodnym, aby cię ziemia święta cierpiała. Z roduś uczciwego wyszedł a w łotrostwoś się wdał.

— Z temeście przyjechali, ojcze? — nasrożywszy brwi, syknął Hriszka.

— Nie miałbym poco — smutnie odparł Zachar — wyrodziłeś się ty z rodu wszystkiego, czartuś duszę oddał, uczciwości wyrzekłeś. Próżnom ci ja, ojciec, nakazywał, prosił a zaklinał, nie pomagało nic. Jużem ja się ciebie wyrzekł, z serca wyrzucił...

Hriszka milczał, nie okazując, iżby go wyrzuty i narzekania staruszka poruszały; uśmiechnął się bezwstydnie, śmiało patrząc w oczy mówiącemu.

— Nu, nu, co dalej powiecie, didu? — zapytał drwiąco. — Toćże przecie nie koniec.

Starzec pięści zaciśnięte podniósł do góry.

— Och, ty! zaprzepaszczony człecze! co krwi rodzonej a siwizny ojcowskiej uszanować nie umiesz, łotrze ty! bodaj cię za to...

Urwał, jeno wzrokiem kończąc myśl zaczętą.

— Didu — swobodnie rzekł Hriszka — poco nam swary między sobą prowadzić? Co się stało, nie odstanie. Wy swoje a ja swoje. Przyjechaliście do mnie, za to wam dziękuję i ugoszczę jak należy, ano, rozumu chyba mnie już nie nauczycie. Dajmy temu spokój. Źle robię, to sobie samemu, was to nie obchodzi.

— Nie obchodzi, powiadasz? — zawołał stary.— Nie obchodzi? Mówisz tak, bo sam nie masz serca, boś wszystką poczciwość z siebie wyrzucił. Gdybyś wiedział, co się ze mną dzieje, skoro wspomnę, że dziecko moje, syn mój, rodzony syn...

Rozpłakał się stary. Dłońmi oczy zakrył i łkał niby pacholę. Łzy ciekły z oczu w dół zapadłych, spływały po suchej twarzy, na wąsach siwych zwisały.

Patrzył na żal staruszka Hriszka, z początku uśmiechnięty, po niejakim czasie twarz mu spochmurniała, zagryzł usta, targnął brody, wstał i kopnąwszy nogą ławę, na której siedział, tak silnie, że się aż wywróciła, krzyknął dziko:

— Ej, dość mam wszystkich bajań, didu... Zaprzestańcie tego raz na zawsze. Nie chcę słuchać gderań waszych. Co mi po nich!

Widocznie sumienie do niego zagadało, więc stłumić je chciał przemocą.

Zachar łzy otarł, westchnął ciężko.

— Lepiej oto, didu, z podróży łyknijcie co, posilcie się, do tego służyć wam będę.

— Choćbym konał z głodu, od ciebie jadła ani napoju nie przyjmę — odparł Zachar. — Tylem już przeżył lat a nikt nie powie, że stary Zachar krzywdą ludzką się żywił. Chleb twój w gardleby mi uwiązł, zadusił chyba. Krew na nim ludzi niewinnych, łzy, rozpacz i przekleństwa... Schowaj dla podobnych sobie gościnę, ja jej nie przyjmę.

— Jak sobie chcecie — mruknął Hriszka. — Musu w tem niema, z dobrej woli wam ofiarowałem.

Obadwaj umilkli. Hriszka na tapczanie się położył, ręką głowę wsparł i w ziemię patrzył; staruszek snać myśli wzburzone starał się uspokoić.

Po niejakim czasie ten ostatni znowu się ozwał.

— Słuchaj, niepoczciwy synie — rzekł — wyrzekłem się ciebie na wieki wieczne oddawna. Jeżelim przyjechał teraz, to nie po to, abym miał nadzieję słowem mojem ojcowskiem do uczciwości cię nawrócić. Inszy miałem powód.

— Inszy? — poruszył się ataman.

— Wcale inszy. — Przyjechałem tu do ciebie z prośbą, jeno nie myśl, abym o co dla siebie prosił, to się po mnie nie pokaże. Naprzód odpowiedz, coś zrobił z pannoczką ze Stepanowa?

— Żadnej pannoczki ze Stepanowa nie znam — odparł.

— Łżesz, kłamiesz, niepoczciwy! Na drodześ ją pochwycił, odtąd ani znaku o niej ..

— Mówię wam, didu, że pannoczki ze Stepanowa nie znam — powtórzył Hriszka.

— Nieprawda. Opowiadał mi szlachcic, który ją wiózł, żeś ty z twymi ją pochwycił.

— A! może być — przypominając, rzekł ataman. — Pochwyciliśmy Laszkę, ano, nie wiedziałem kto ona jest. Co mi do tego.

— Więceście ją ujęli?

— No... i cóż z tego? Laszka młoda, piękna... miałbym taką z rąk puścić? — rozśmiał się Hriszka.

— Gdzież ona jest? — dopytywał gorąco Zachar.

— A wam, didu, co do tego? — żartobliwie spytał ataman. Chyba i was oczarowała?

— Porzuć żarty sprośne — surowo zawołał Zachar. — Odpowiadaj mi, gdzie jest? Gdzie ona?

— Alboż ja wiem? — drwiąco odparł Hriszka.

— Słuchaj Hriszka — poważnie rzekł staruszek. Jedyną, jedną prośbę do ciebie mam. Bądź pewnym, że nie narzucę się tobie więcej. Laszkę tę oddaj, jeżeli ci życie miłe, jeżeli miłe życie twego syna...

— Na cóż wam ona, didu? — rozciekawiony dopytywał ataman. — Wam młoda i kraśna dziewojka... .

— Pannoczka jest córką podczaszego ze Stepanowa — począł Zachar. — Zacny to był człek. Panie, daj mu spokój wieczny! Wiesz dobrze, com mu winien. Taż bo on, a nie kto inny, z rąk Tatarzyna mnie uwolnił, życie ocalił raz wtedy znowu, kiedy brat jego, pan starosta, na kół mnie wbić kazał za to, żem go z chaty mej precz wyrzucił, gdy żonkę moją bałamucić chciał. Och! święty człek był podczaszy. Sługam jego do oddechu, do grobowej deski.

Hriszka sposępniał

— Cóżeś z nią zrobił? Gdzie ona?

Za odpowiedź usta odął ataman.

— Nie wiem. Ostapka czarowała, zbyłem się...

— Żydowi sprzedałeś?

— Żydowi. Co mi po niej było? Dlategom ją chwycił, aby czerwieńce od żyda dostać.

— Nieszczęście! — jęknął. — Och, Hriszka! Hriszka! jakże ty przed Bogiem na sąd duszy staniesz?...

— Popia to rzecz, nie moja. Przyjdzie czas, kajać się będę, ano do tego jeszcze daleko...

— Hriszka — przerwał mu nagle Zachar. — Ty Laszkę oddać mi musisz.

— Ech, didu, zapóźnoście się wybrali. Mówię wam, żem się Laszki zbył i koniec sprawie.

— To są twoje ostatnie słowa?

— Ostatnie, didu. Chcecie, odbierajcie ją sami. Szukajcie, jeżeli znajdziecie.

— Powiedzże chociaż, komuś ją zbył?

— Nie głupim, didu... Sami znajdziecie, dobrze, ja nie powiem nic.

— Hriszka, pamiętaj, żebyś tego nie żałował — surowo napomniał go Zachar.

— Żałować nie będę, a taki nie powiem. Mnie życie miłe.

Bał się Hriszka, iżby przystawszy na propozycyę ojca, nie został przez zemstę Judy wydanym. Żyd łacno mógł na niego nieproszonych gości naprowadzić.

Nie wskórawszy nic, wyszedł stary z izby niemal z rozpaczą. Próbował, azali się czego od Nastki nie dowie, wszakże napróżno.

Na zaproszenie Naści, która mu posiłek ofiarowała. Zachar nie przystał. Obruszył się, splunął, czapkę na samo czoło natłoczył i czemprędzej siadłszy na konia, odjechał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WIOSNA

na pamiątkę mojej drogiej siostrze Jani.

Idzie urocza... Złota aureola
Jej promieniste okoliła czoło
I ponad lasy i posępne pola
Rzuca czar życia i piosnkę wesołą.

Rozbudza kwiaty, co były uśpione
Pod białym płaszczem śniegu zimowego —
W sukienki stroi drzewa obnarzone,
Grzeje promieńmi słoneczka złotego...

Z pod swej cudownej liliowej szaty
Wypuszcza pszczółki i roje motyli,
I ten wesoły, śpiewny huf skrzydlaty,
Co rolnikowi pieśnią się przymili...

Szemrzą potoki, pieśń urocza dzwoni,
Porywa serca czar wiosenny, błogi
Serce już żadne łez smutku nie roni,
Bowiem mijają dnie wichury srogiej.

Serce zaczyna marzyć życiem wiosny,
Z błogim uśmiechem spoziera na słońce,
Wokoło panuje dźwięk życia radosny,
Zewsząd radośni nadlatują goście...

O Wiosno moja! O Wiosno radości!
Jak błogo patrzeć w twe promienne lica,
W których to życie i to słodycz gości —
Która nam w smutkach, jak jutrznia, przyświeca.

Robert Rydz z Trynitatis.



MACIEK BZDURA GADA:

Ozmyśliłem se i nie pojadę juz na saksy. Co prawda, to tam będzie sielna uciecha, ale i u nas jej tu nie braknie, bo się zanosi na wielgie urocystości. A więc najprzód, to Najjaśniejszy Pon pedzioł, co do bani z takiemi posłami, co to zamiast we Wiedniu siedzieć, to się z zydami precesują, o karcmy się jem starają, a z tego juz po dwoje chrzcin w jeden dzień sprawiają. Rozegnali tez wszyćkich posłów na zieloną trawę, co się za Bartkową stodołą kłuje, a umyślili inksy porządek na świecie zrobić.

Drzewi, jak do Wiednia jechały ludzie rozumniejse, toby się ta taki figiel nie udał, ale teraz, jak wybirają na posłów takich ludzi przeważnie, które duzo obiecywać umią i sielnie wrzesceć, to jasny minister inacy se wykalkulował. Kazał rozegnać chłopów, a wydał ustawę, zeby baby mogły chłopów zastępować. Coby to jednak lepi pasowało, to od teraz baby będą musiały chodzić w portkach i kuniec.

Minister myślał se tak: Kiedy ludziska tem wierzą, którzy krzycą dużo i dużo obiecują, to któż bardzi potrafi wrzesceć, jak nie baba i kto więcej potrafi obiecywać, jak nie baba. Ale zeby to jakoś nieładnie było poślicy w babskich haderach chodzić, to jem kazał ubrać se portki. Jak to urocyście będzie wyglądało, jak Kaśka się wystroi.

Ze względu na takie dwie wielgie urocystości, jak wybory do parlamenta i portki, wolę juz zostać w kraju galicyjskim i na saksy nie jechać.

Ino, laboga, nie wybirajcie na poślicę moi gospodynie, bo ona toby chciała sama rządzić, a jakby jej inkse ludzie nie chciały słuchać, to zarnówka i koniec świata. A wszyćkich ministrów toby pewnikiem głodem zamorzyła.

Taki wymysł, jak uportcone poślice, to nie był zły wymysł. Wiadomo przecie, ze teraz wsyscy chcą rozsyrzonego głosowania, a chłop to co? Chłop i zawse chłop. Jak ich pojedzie do parlamenta 70 luda z kraju polskiego, to choćby tam siedzieli i 60 lat, to nigdy ich więcej nie przyjedzie, ale zgoła cy i nie mniej. A jak pojedzie 70 bab, to za parę miesięcy moze wrócić do kraju dwa razy tyla luda, jak ich pojechało, bo ta babom o przychowek nie trudno.

Z ty racyje, to mi już i saksów nie zal, bo jak tyle babstwa pod jesień do Wiednia pojedzie, to i ja się z niemi wybiere i będe jem posługiwał.

Padacie, co na to Kaśka powie? A niechze se gada co kce! Jesce nie było baby na świecie, coby jej wszyscy ludzie naraz dogodzili, to i Kaśka się napyskuje i da spokój, a zreśtą ona choć mi ją ludzie rają, to jesce ze mną nie zrękowana, bo mi juz pedziała, co dopiro o tem potem będziewa gadać.

Z TYGODNIA.

Morderstwo polityczne. Przed tygodniem ukończył się w Krakowie proces Trudnowskiego i Sadowskiego, z których pierwszy był oskarżony o to, że zabił na rynku krakowskim Rybaka, drugi za to, że Trudnowskiego do tego zabójstwa namawiał. Obydwóch oskarżonych uratowały zeznania ostatnich świadków, którzy wykazywali, że Rybak zdradzał nazwiska Polaków, należących do związków w Królestwie Polskiem, a które miały za zadanie walczyć przeciw Rosyi o prawa dla Polaków. Według zeznania tych świadków, Rybak od dłuższego czasu należał sam do tych związków, a poznawszy dokładnie ich organizacyę i ludzi, począł ich za pieniądze zdradzać przed Rosyą. Dalej opowiadali świadkowie, że w ten sposób setki osób zdradzonych przez Rybaka, poszły na Sybir lub zapełniły więzienia rosyjskie.

Gdy szpiegostwo Rybaka wykryto, sprzysięgło się kilku robotników tych związków, aby go za zdradę zamordować i wybrano losem Trudnowskiego, któremu powierzono dokonanie tego strasznego czynu. Trudnowskiego i Sadowskiego sąd przysięgłych uwolnił, ale tylko bardzo małą większością głosów, czem dał jasno do zrozumienia, że gdyby zaszedł kiedy drugi taki wypadek zabójstwa politycznego, to zabójca nie mógłby już liczyć na litość, bo chociaż takie morderstwo, jakiego dokonał Trudnowski, nie jest równe n. p. morderstwu jakiegoś zbója dla rabunku lub morderstwu z zawiści lub nawet zemsty, bo było dokonane ze szlachetniejszych pobudek, to jednak nie mniej jest bezprawnem morderstwem, jest grzechem, który należy tępić, gdyż sprzeciwia się przykazaniu bożemu: »nie zabijaj!«

Jedną noc posłem. W Dalmacyi odbył się dopiero co oryginalny wybór. Po śmierci posła przeprowadzono uzupełniający wybór z okręgu Kotorskiego. Wybrano późnym wieczorem jednomyślnie posłem Dra Bożydara Vrakotica, a na drugi dzień rano cesarz ogłosił rozwiązanie parlamentu. Tak więc nowo wybrany poseł piastował tylko jednę noc godność poselską i to śpiąc w łóżku po trudach wyborczych. Jeżeli będzie znów chciał zostać posłem, to musi być ponownie wybrany.

Hakatyści jakby na komendę uchwalają ciągle rezolucye, domagające się wywłaszczenia Polaków z ziemi ojczystej pod zaborem pruskim. Rezolucye te są prawie równobrzmiące. Hakatyści chcą owemi rezolucyami skłonić rząd, by rozpoczął wywłaszczać według życzeń hakaty, ale rząd pruski przecież wstydzi się popełniać tę niegodziwość. Może zawsze wstydzić się będzie i wywłaszczać nie zacznie.

Włochy się cieszą! Obecnie odbywają się w Rzymie wielkie uroczystości z powodu 50-letniej rocznicy zjednoczenia licznych a małych państewek włoskich w jedno wielkie państwo. Włochy się z tego powodu radują, jednak mniej się cieszą z tego prawdziwi katolicy nietylko we Włoszech, lecz na całym świecie. Nie cieszą się zaś z tego powodu, bo w czasie zjednoczenia Włoch zagrabiono papieżowi całe państwo kościelne, które trwało już 1000 lat i kwitło pomyślnie pod opieką mądrych papieży. Od tego czasu papiestwo straciło dochody i obecnie utrzymuje się przeważnie ze świętopietrza. Na uroczystości było zaproszonych wielu monarchów, jednak żaden z nich nie przyjechał i słusznie, boby inaczej dali do zrozumienia, że się nie cieszą zagrabieniem państwa kościelnego i uczyniliby papieżowi przykrość. Jeżeli się Włochy cieszą z potęgi swojej, to są potężne z krzywdą papieży i Kościoła katolickiego.

KRONIKA.

Pierwsze grzmoty. W poniedziałek, dnia 3 kwietnia, dały się słyszeć pierwsze grzmoty ponad Krakowem. Wyszła niewielka chmura, którą poczęły przerzynać gęste błyskawice z grzmotami, poczem lunął deszcz, z niewielkiemi ziarnkami gradu. Zjawisko to dość niezwykłe, aby tak wczas były grzmoty.

(J. H.) **Smutny koniec pijaka.** Z Dębna pod Nowym Targiem piszą nam: Na Spiżu, przy granicy polskiej, blisko naszej wsi, mieszkał Wojciech Bryjcka, który bardzo dużo pił, aż przepił cały grunt i bydło. Dnia 30 marca pił w karczmie w naszej wsi, która stoi blisko Dunajca. Wyszedł z karczmy pijany i zaraz przed karczmą, zatoczywszy się, stulał się do wody i utopił. Woda zniosła go o jeden kilometer drogi, aż go przyniosła na węgierską granicę i tam go znaleźli nieżywego. — Dzieci nie miał a żona mu umarła przed trzema laty.

(J. M.) **Smierć dziecka w płomieniach.** Jeden z naszych przyjaciół w Szczawnicy wyżnej pisze nam co następuje: Dnia 28 marca b. r. o godz. 12 w południe wydarzył się w Szczawnicy wyżnej smutny wypadek. Oto dziewczynka dziesięcioletnia, córka Walentego Dziedzica, wyszła na ogród z kilkorgiem innych dzieci i tam zbierały po ziemniaczysku łodygi. Złożywszy je na kupę, podpaliły. Dziewczynka owa przyniosła jeszcze we fartuszku słomy i chciała wrzucić ją na ogień. Zbliżyła się jednak tak blisko do ognia, że ten objął jej sukienki. Przerażona poczęła biegać i krzyczeć. Na krzyk jej zbiegli się ludzie, ale było już za późno, bo miała nogi i tułów aż po szyję poparzone. Sprowadzono lekarza, lecz ten nie mógł już jej nic pomódz. Po dwóch godzinach okropnych boleści zakończyło biedne dziecko po przyjęciu św. Sakramentów swe młode życie.

Z weselem jechali, ze smutkiem wrócili. Na inspekcyi policyjnej we Lwowie zjawiło się w ubiegły czwartek wieczorem czterech włościan z prośbą o wyszupasowanie do wsi, z której pochodzą, gdyż w powrocie z Prus, nie mają pieniędzy za co wrócić.

Z opowiadań ich można było dowiedzieć się coś niecoś o doli naszych włościan na emigracyi. Obietnicami stosunkowo dobrej zapłaty, bo 2 kor. 90 h. na dzień, ściągnął ich jakiś agent do kopalni »Cleophas«. Kiedy jednak stanęli do pracy, płacono im tylko 2 k. 40 h. i to w znaczkach blaszanych, za które dostawali wikt w kuchni przedsiębiorstwa. Po dwumiesięcznej pracy tak ich pięknie obliczono, że po strąceniu należytości za wikt i nocleg, dostali po 2 marki gotówką. Dodać do tego należy, że dozorcy bez litości znęcali się nad nimi przez cały czas. Jechali biedacy w świat po grosz a nędzę przywieźli.

(J. T.) **Pożary.** W Jasienicy, na Śląsku, dnia 23 marca spłonął budynek drewniany Jana Jęknera, w którym mieszkali sami komornicy. Pożar wybuchł z niewiadomego powodu o godzinie 10½ wieczór. Mieszkańcy zdołali ujść tylko z tem, co mieli na sobie. W ogniu zginęło jedno prosię i trzy kury.

W dniu 26 marca o godzinie 8½ wieczór wybuchł znów pożar w Grojcu. Spłonął budynek o 3 izbach Józefa Zamorskiego. Podobną pastwą płomieni padła znaczna gotówka i mięso na strychu. Powodem pożaru było zapalenie się sadzy w kominie.

Uratowana od śmierci. W połowie marca, w Czerniowcach na Bukowinie, dokonał pięknego czynu robotnik kolejowy, Józef Schwab. Oto gdy o godz. 8 wieczorem zdążał w towarzystwie drugiego robotnika przez most na rzece Prut do Czerniowiec, posłyszał nagle z dołu rozpaczliwe wołanie: pomocy! ludzie, ratujcie! Robotnicy w oka mgnieniu przebyli most i zbiegli brzegiem ku rzece a kierując się rozlegającem się ustawicznie wołaniem o pomoc, ujrzeli w blasku latarń, most oświetlających, kobietę zanurzoną prawie po szyję w wodzie i walczącą rozpaczliwie z falami wezbranej rzeki, które ją coraz dalej ku środkowi unosiły, grożąc niechybną śmiercią.



Dzielny robotnik wskoczył bez namysłu do wody i z narażeniem własnego życia wydobył na brzeg nieszczęśliwą kobietę, już wiekową, lat około siedmdziesięciu, która wskutek przemarznięcia i strachu straciła natychmiast przytomność. — Zawezwane na miejsce pogotowie ratunkowe lekarskie odwiozło biedaczkę do szpitala w Czerniowcach, gdzie po odzyskaniu przytomności zeznała, że do rzeki wpadła przypadkiem, idąc brzegiem wśród ciemności. Uratował jej życie prawdziwie chrześcijański czyn odważnego robotnika, który, nie zważając na własne niebezpieczeństwo, natychmiast rzucił się z pomocą tonącej.

Szpilka w sercu. Smutny wypadek zdarzył się przed kilku dniami w szkole w Wiener-Neustadt, w Austryi Dolnej. Przed rozpoczęciem nauki zasłabła nagle w ubiegły czwartek jedna z uczennic niższej klasy, ośmioletnia Magdalena Berner. Przerażone koleżanki zwróciły się po pomoc do nauczyciela: posłano po lekarza, wszelkie jednak zabiegi okazały się bezskuteczne. Wtem zauważono, że na bluzce uczennicy widnieje główka szpilki. Wyciągnięto niezwłocznie szpilkę z ciała i okazało się, że tkwiła ona w sercu dziewczyny na kilka centymetrów głęboko. Dziewczynka zmarła niebawem na rękach lekarza.

Prawdopodobnie, wychodząc z domu, wpięła Bernerówna szpilkę w bluzkę, a poruszywszy się nieostrożnie, przekręciła ją i wbiła sobie w serce.

Śmierć chłopca szkolnego wskutek upicia się. Z Hemsbach, w Niemczech, donoszą, że 7-letni syn gróbarza, Brancha otrzymał od ojca kije za nieuczęszczanie do szkoły. Ze zmartwienia wypił chłopiec cichaczem ćwierć litra wódki i położył się spać; nie obudził się jednakowoż więcej. Nastąpiło zatrucie alkoholem ze śmiertelnym skutkiem. Pogłoska jakoby chłopiec umarł wskutek chłosty, wymierzonej mu przez ojca, okazała się mylną. Jest to nauka dla rodziców, aby wódkę, jeżeli jest w domu, zamykali dobrze, by dzieci nie miały do niej przystępu!

Katastrofa w tunelu. Na robotników pracujących w tunelu kolejowym we Francyi najechał pociąg, dążący z Paryża w kierunku Nogent. Robotnicy cofnęli się na drugą stronę tunelu, w tejże jednak chwili ukazał się pociąg, dążący do Paryża, i zanim robotnicy zdążyli zeskoczyć pod ścianę tunelu, najechał na nich całym pędem. Dwóch robotników zginęło na miejscu, a siedmiu odniosło rany ciężkie.

Wypadek biskupa. Na ulicach wielkich miast z powodu olbrzymiego ruchu dorożek, powozów, omnibusów, wozów tramwajowych, samochodów — nie trudno o niebezpieczny nieraz wypadek, mimo baczności woźnicy i wszelkich ostrożności. Nieraz czyta się w gazetach, że nawet królowie i książęta panujący, jadąc samochodami, ulegali wypadkom, które mogły nawet śmierć spowodować.



Przed paru tygodniami podobny niebezpieczny przypadek zdarzył się w Pradze tamtejszemu biskupowi-sufraganowi ks. Trindowi. Gdy jechał pewnego dnia powozem przez jednę z najruchliwszych ulic, naraz z tyłu w szybkim pędzie uderzył wóz tramwajowy o powóz biskupi. Uderzenie, mimo, że tramwaj usiłowano zatrzymać, było tak gwałtowne, że biskup doznał poważnych okaleczeń, woźnica spadł z kozła na bruk i silnie się potłukł, a konie się spłoszyły. Na szczęście w paru dniach dostojnik Kościoła powrócił do zdrowia.

Ojciec 28 dzieci. Niejaki Wajchöfer, zmarły przed kilku dniami w miejscowości Radstadt w Czechach, w wieku 89 lat, trzy razy wstępował w związki małżeńskie i obdarzony został od żon 8, 11 i 9, razem 28 dzieci; z tych żyje dzisiaj jeszcze 24. Najmłodsze dziecko, córka, liczy obecnie 16 lat, najstarszy syn 67 lat. Poczciwiec miał 101 razy szczęście zostać dziadkiem; z wnuków żyje obecnie 66 w wieku lat 38 do 1 miesiąca. Oprócz tego miał 31 prawnuków.

Najstarszym kapłanem jest dziś prawdopodobnie proboszcz wioski francuskiej Raches, we Francyi, ks. Karol Cadenne, który kończy w dniu 10 kwietnia r. b. 106 lat wieku. »Ojciec Cadenne«, jak go okoliczna ludność zowie, cieszy się wybornym stanem zdrowia i mimo sędziwego wieku spełnia gorliwie obowiązki kapłańskie.

Cywilny pogrzeb. Przed kilku dniami zmarł w Rzymie pewien malarz, należący do masoneryi, pogrzeb więc jego był czysto cywilny, bez udziału duchowieństwa. W chwili, gdy przeciągał przez jednę z ulic orszak żałobny z karawanem, za którym niesiono zieloną chorągiew, z odznakami wolnomularskiemi, przechodził przez ulicę pewien ksiądz, który, wobec tego że pogrzeb był masoński, nie zdjął kapelusza, we Włoszech zaś jest zwyczaj, że kiedy idzie orszak pogrzebowy, przechodnie zdejmują kapelusze. Wtedy do księdza przypadł jeden z idących za karawanem i uderzył go w twarz, wołając: »Naucz się zdejmować kapelusz!« Napadnięty schwycił napastnika za surdut, w tej chwili nadbiegło jednak dwóch policyantów i przeszkodziło biciu kapłana. Aresztowany napastnik okazał się masonem. Sprawa będzie oddana do sądu. Postępek ten jest tem jaskrawszy, że masoni wobec procesyi lub N. Sakramentu zuchwale nie zdejmują kapelusza, lecz tej wolności odmawiają innym. Tak samo postępują u nas socyaliści.

Czego pijanica nie zrobi? Dzienniki syberyjskie donoszą o niejakim Andrzeju Łuczce, Rusinie ze wsi Werbówki, iż przepiwszy podczas jakichś świąt miejscowych wszystko co do grosza, sprzedał swą żonę i troje dzieci (najstarsza dziewczynka chodziła już do szkoły) za 70 rubli (180 kor.) swemu sąsiadowi z tej samej wsi, Karpowi Panasiukowi. Celem zawarcia prawomocnego aktu kupna-sprzedaży, zawołano wójta i kilku poważniejszych sąsiadów. Ci chcieli wpłynąć na Łuczkę, by się opamiętał, ten jednak stanowczo trwał przy swym zamiarze. Akt spisano, nabywca wypłacił pieniądze i odwiózł do siebie kupioną kobietę a Łuczko pił w dalszym ciągu. Nazajutrz dopiero, gdy wytrzeźwiał, zaczął żałować zbytniej swej pochopności, rozpłakał się głupiemi łzami i nie można go było utulić. Wspóltowarzysze po kieliszku, podejmowani w przeddzień hojnie, starali się dopomódz biedakowi w kłopocie, udali się do nabywcy i wreszcie po długich trudach i mozołach zdołali go namówić, by zrzekł się nabytku. Panasiuk się zgodził, zażądał jednak prócz 70 rubli ceny kupna jeszcze 30 rubli odstępnego. Łuczko się zgodził, ale nie miał skąd wziąć, bo już większa część pieniędzy, wziętych za żonę, była przepita. Wreszcie po długich rokowaniach Panasiuk zgodził się zwrócić kobietę, otrzymawszy weksle. — I już zdawało się, że sprawa cała rozwiązana została pomyślnie ku ogólnemu zadowoleniu, tymczasem nasunęła się nowa trudność: sprzedana żona nie chce wracać do swego dawnego męża; u nowonabywcy, mówi, znacznie jej lepiej.

Rozprawa z wilkami. Wypadki napadania ludzi przez zgłodniałe i przez to zuchwałe wilki, można było liczyć na setki podczas ubiegłej zimy, szczególnie w guberniach rosyjskich. Kilkakrotnie pisaliśmy też o nich w naszej gazetce. Obecnie zaznaczamy wypadek, który zaszedł z końcem lutego w pewnej nadgranicznej wiosce. O godz. 11 rano na pełniącego służbę w pobliżu lasu rosyjskiego strażnika skarbowego napadły trzy ogromne wilki. Obskoczywszy go dokoła, z całą zajadłością rzuciły się na niego. Strażnik nie stracił jednak ani na chwilę przytomności umysłu. W oka mgnieniu położył trupem wystrzałem z karabinu pierwszego wilka, który z rozwartą paszczą usiłował rzucić się wprost na niego.



Ale dwa inne wilki, mimo śmierci towarzysza, nie ustępowały jeszcze, cofnęły się tylko o parę kroków. Strażnik strzelił po raz drugi i zranił drugiego, który zbiegł natychmiast do pobliskiego lasu, pozostawiając na śniegu ślady posoki, trzeci drapnął zaraz za nim, a dzielny człowiek przytomnością umysłu uratował sobie życie.

Cygaństwo cyganki. Wiemy dobrze ile to rozmaitych sposobów mają cygani, aby człowieka oszukać i już nieraz pisaliśmy o tem w »Roli«. Dziś podajemy nowy przykład ich przebiegłości. Oto do pewnej pani przybyła cyganka i ofiarowała jej pier-

ścień drogocenny z brylantami, żądając zań 30 kor. tylko. Owa pani zgodziła się i dała cygance rzeczoną sumę. Potem cyganka jeszcze prosiła, aby jej pani pokazała ów pierścionek na momencik, gdyż chce sobie z niego numer odpisać. Pani i na to się zgodziła. Po chwilce cyganka pierścień oddała i oddaliła się. Niebawem jednak pani zdziwiła się niemało, gdyż cyganka zostawiła jej nie pierścień z brylantami, ale inny, wartości około dwóch koron. Jest to nauka, aby z cyganami nie wdawać się w żadne interesa.

Nowy strój dla kobiet. Co roku z wiosną widać po miastach, że panie noszą suknie coraz to innego kroju: jedne obszerne, bufiaste, inne znów szczupłe, a spodnice tak spętane, że ledwie w nich poruszać się mogą. Ale tej wiosny wymyślili krawcy paryscy strój dla pań taki, jakiego jeszcze nie było: ni mniej ni więcej, tylko obszerne szarawary, sięgające do kostek, tu zupełnie wąskie i zakończone koronką. Aby wprowadzić nową modę i pokazać jej zalety, magazyny krawieckie w Paryżu, Wiedniu i innych miastach wysyłały na ulice kobiety przybrane w ten sposób. Wszędzie taką modnisię w damskich spodniach obstępowały setki gapiów, niedorostków, łobuzów i biegli za nią jak za dziwowiskiem, wyszydzając tę niebywałą modę. Ale i poważna publiczność bardzo nieprzychylnie przyjmowała tę nowość; panie nie zastosowały się do niej, lecz używają, jak dawniej, spodnic, niektóre zaś, co odważyły się ukazać publicznie w szarawarach, spotykały się na ulicach z takiemi przykrościami ze strony przechodniów, że aż policya musiała je brać w opiekę, co prędzej pakować do dorożki i odwozić do domu. We Lwowie było już kilka takich wypadków. Z tego wnosić można, że tak u nas, jak i u innych narodów cywilizowanych Europy zachodniej, strój ten nie wejdzie w użycie, lubo używany jest w Turcyi i u niektórych ludów południowych. Nasza rycina przedstawia damy w modnych szarawarach, bardzo zresztą zabawnie wyglądające, szczególniej te, którym natura nie poskąpiła pełnych kształtów.



Gdy ktoś zapytywał młodą i urodziwą gosposię wiejską, czyby ubrała się w takie krase szerokie portasy, uszyte zresztą z tego samego materyału, co spodnica, odparła bez namysłu:

— Za nic, panie, nie paradowałabym w takich portczyskach w czerwone albo żółte kwiatki, za nic, choćby nieboszczyk pan ociec z grobu wstali i na wszyćkie świętości mnie zaklinali! Adyć mój, skoroby mnie tak ubraną uźrał, do półśmierciby mnie zeprał, a wieś cała na języki by wzięła! A choćby nawet nikt mi za to marnego słowa nie rzeknął, za nicbym z siebie takiego cudaka nie zrobiła! Jeżeli się gdzieś w świecie paniom w głowach przewróciło, to jeszcze do tego daleko, cobyśmy, wiejskie kobiety miały w te pędy ich małpować! Rety! niesłychane rzecy: baba w portkach!!

Wielki bal dla dzieci. Król Jerzy angielski zarządził na tydzień koronacyjny bankiet dla 100.000 biednych dzieci. Uczta odbędzie się w londyńskim »Kryształowym Pałacu«. Zawiązano komitet, który zajmie się wyborem dzieci, urządzenie zaś olbrzymiej biesiady dla małoletnich uczestników powierzono pewnemu restaratorowi. Co to za uciecha będzie dla maleństw, gdy się razem zbiorą w takiej liczbie!

Polacy w Ameryce. W Chicago, w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, pomiędzy kandydatami na przedstawicieli (aldermanów) miejskich okręgów (wardów) znajduje się też sporo Polaków. Obecnie odbywają się tam wybory owych aldermanów. Z Polaków ubiegają się o ten urząd pp.: Smulski, adwokat Jarecki, Jan Czekała, Józef La Buy, którego rodzice pochodzą z Ksiestwa Poznańskiego i nazywali się Łabujewscy, Rybarczyk i t. d.

Wielkie pożary w Nowym Jorku. W Nowym Jorku, we fabryce towarów celuloidowych, wybuchł pożar w ostatnią sobotę marca po skończeniu pracy, podczas wypłaty robotników. Ośmset dziewcząt znajdujących się na 8, 9 i 10 piętrze, ogarnęło śmiertelne przerażenie. Większa część z nich powychodziła na wąskie wystawki u okien i skąd na widok przybliżających się płomieni, zeskakiwała na ulice. Rozpostarte przez straż pożarną sieci ratunkowe, okazały się bezużytecznemi, gdyż wskakiwało w nie za dużo osób naraz, tak że sieci nie wytrzymywały naporu i pękały, a trupy rozbijały się o chodniki lub wpadały do piwnic. Windy, łączące poszczególne piętra, nie działały, gdyż zaraz po wybuchu pożaru zapchane zostały tłoczącymi się do nich ludźmi. Przeszło 150 osób straciło życie. Około 100 zabitych leżało na ulicy, kilkadziesiąt zwęglonych i zbezkształconych trupów we wnętrzu fabryki i na podwórzu. Setki osób uratowano poprzez dachy, co zawdzięczać należy męztwu i śmiałości studentów pobliskiego uniwersytetu. Jakiś człowiek, zagrożony śmiercią w palącym się budynku, wpadł w obłęd widocznie, gdyż widziano, jak wyrzucił kilkanaście dziewcząt z okna 10 piętra na ulicę, poczem wyskoczył sam na bruk. Większa część ofiar jest narodowości włoskiej. Dzikie sceny, pełne wstrząsającej grozy, rozgrywały się na górnych piętrach pomiędzy ludźmi, widzącymi śmierć niechybną, a walczącymi jeszcze o życie. Po dwugodzinnej pracy straży pożarnej opanowano pożar; straż obstąpiła dookoła tlejący się jeszcze budynek, z którego bez ustanku wynoszono strasznie zeszpecone trupy. Ze wszystkich szpitali nadjeżdżać zaczęły oddziały sanitarne, aby na wozach ambulansowych odwozić rannych do szpitali. Olbrzymie tłumy stały naokół miejsca katastrofy, a co się działo przy szukaniu i poznawaniu członków rodzin pomiędzy zabitymi, opisać niepodobna. Katastrofę przypisują ogólnie niedbalstwu, z jakiem budynek został zbudowany. Miał on rzekomo być ogniotrwałym i dlatego też zaniedbano zaopatrzyć go w zewnętrzne drabiny po obu głównych stronach. Drabiny takie znajdowały się wprawdzie po bokach domu, lecz umieszczone były w taki sposób, że dla większej części zagrożonych były niedostępne.

W tym samym tygodniu miasto Nowy Jork poniosło olbrzymią stratę skutkiem pożaru, na szczęście bez ofiar w ludziach. Spalił się prawie doszczętnie gmach rządowy, zwany Kapitolem. Sale posiedzeń senatu, mieszkanie gubernatora i drogocenna biblioteka z niesłychanie wartościowymi dokumentami, stały się pastwą płomieni. Straty wynoszą około 40 milionów koron. Budowa gmachu trwała kilka lat i kosztowała 108 milionów koron. Przyczyną pożaru był wadliwie urządzony przewód elektryczny.

Rozpieszczony lew. Słusznie człowiek nazywa się panem wszelkiego stworzenia, albowiem każde, nawet najdziksze i najdrapieżniejsze zwierzę potrafi nietylko oswoić i nauczyć różnych sztuk, których uczy się tylko zwierzęta domowe, ale cierpliwem i łagodnem postępowaniem z takiem zwierzęciem zdobędzie nawet jego miłość.

W Indyach, w jednem z większych miast, żona pewnego wysokiego urzędnika angielskiego dostała raz maleńkiego lwa. Chowając go w domu i obchodząc się z nim łagodnie, nigdy nie drażniąc i żywiąc do syta, doprowadziła do tego, że zwierzę gdy wyrosło, zachowywało się wobec niej i wszystkich domowników tak łagodnie, jak pies. Lew ten nie znał dzikich kniei leśnych, nie potrzebował z głodu napadać i pożerać innych zwierząt — srogość więc i krwiożerczość, zdawało się, że w nim zamarła. Cały dzień spędzał w ogrodzie, lub na ganeczku domu, wygrzewając się do słońca, a ile razy pani jego się pokazała, witał ją z radością i tulił do niej olbrzymi łeb ozdobiony sutą płową grzywą, mrucząc z wielkiem ukontentowaniem. Z dziećmi bawił się również łagodnie, nie czyniąc im nic złego.



Ale do obcych nie miał zaufania i często groźnie mruczał na przechodzących za wysokim parkanem ludzi, zwłaszcza na niedorostki, które go zaczepiały. I raz zdarzyło się, że odezwał się w nim groźny król pustyni, na którego potężny ryk wszystko drży. Był cichy, gwiaździsty wieczór — godzina późna. Dzieci owych państwa poszły spać, pana w domu nie było, gdyż w sprawach urzędowych wyjechał na parę dni. Pani siedziała na ganku, używając chłodu wieczornego po upalnym dniu, ulubiony lew zaś drzemał cicho u jej stóp. Naraz z rozległego ogrodu dał się słyszeć podejrzany trzask i głosy ludzkie. Lew, który ma równie dobry słuch, jak kot, zerwał się i nim pani zdołała go zatrzymać, pędem puścił się w ogród. Łatwo się domyśleć, że do ogrodu zakradli się złodzieje, myślący, że wszyscy domownicy śpią i lew również, zamknięty w swojej stajni. Na usilne wołanie swej pani, straszliwy ale i posłuszny stróż się powstrzymał i nic złodziejom nie zrobił — ale nie wiele brakowało, a byłby kilkoma potężnemi uderzeniami łap wyprawił ich na drugi świat.

Drogie pchły. Podczas gdy wszyscy śmiertelnicy dokładają wszelkich sił, aby pozbyć się i uwolnić od wszelkiego rodzaju pasożytów, a zwłaszcza pcheł, istnieje w Londynie człowiek, którego dumę stanowi posiadanie jak najwięcej pcheł. Mężem tym jest sir Walter Rotschild, który, unikając wprawdzie osobistego zetknięcia się z temi zwierzątkami, przecież ze stanowiska uczonego specyalnie się niemi zajmuje. On, i to wyłącznie w świecie, posiada wspaniały zbiór pcheł, liczący 3000 rodzajów. Obecnie zakupił przypadkowo 3 bardzo wielkie pchły lisa polarnego, płacąc za nie 2400 kor. — A niech się tam bawi, kiedy ma pieniądze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Wszystkich, którzy nadesłali prenumeratę, prosząc o numera od Nowego Roku, zawiadamiamy, iż numera z pierwszego kwartału zupełnie wyczerpane, dlatego wysyłkę rozpoczęliśmy od 1 kwietnia i od tego czasu prenumeratę liczymy. Ci, którzy przysłali po 4 Kor. a dopiero numer 14 otrzymali, mają więc zapłaconą „Rolę“ do dnia 31 marca 1912 roku.

PP.: Franciszek Marzec w W.: Serdeczne dzięki i łączymy ukłony. — Adam Jesionek w Ch.: Dobre — dziękujemy. — Antoni Makowski w R. W.: Numer pierwszy, niestety już wyczerpany. Może który z sąsiadów ma a nie składa rocznika, to odstąpi. — Wojciech Wawrzczak w K.: Maciek az ładny i miły wierszyk dziękuje. — Józef Kulka w B.: Wiersze otrzymaliśmy — pójdą. — Stanisław Szymański w Cz.: Wszystko wliczamy do konkursów, a drukujemy o ile na to miejsce pozwala. — Jerzy Tyrna w B.: Kronika w numerze. Początkowych numerów już nie mamy, więc ich wysłać nie możemy. — Teofil Tryczyński w N.: Wierszyki otrzymaliśmy — dobre. Numerami od Nowego Roku służyć nie możemy, gdyż już zupełnie wyczerpane. — Andrzej Wróbel w K.: Obydwie nadesłane prace dobre, więc będą drukowane. Konkursy przecież przedłużone do końca roku. — Paweł Grzebień w P.: Od początku roku już nie mamy, nadesłaną więc kwotę przeznaczamy na II i III kwartał. Piotr Kędzierski w P.: Za nadesłane prace serdecznie dziękujemy. Karol Baron w P.: Nadesłany wierszyk dobry. — Marya Adamczyk w Z.: Maciek listem ogromnie się ucieszył i nosi go na sercu, ale co powie mąż, gdy z Ameryki wróci. Biedak po rękach chciał całować w drukarni, żeby list ten przyjęto do druku, ale, niestety powiedziano mu, że zadługi. — Franciszek Gruszka w W.: Rzeczy nadesłane dobre, ale trudno z góry oznaczyć nam kiedy będą drukowane. — Józef Kobylański w L.: »Śmierć powstańca« otrzymaliśmy. — Kantor Adam w F.: Numerów z pierwszego kwartału już nie mamy. — Wojciech Ćwiok w P.: Atlas geograficzny dostanie Pan w każdej księgarni n. p. Krzyżanowskiego rynek, Ebersa ul. Floryańska. Ceny są różne. Niech pan napisze po cennik.

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 4 kwietnia:

Buhaje	Kor.	120	do	180	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	120	„	200	„
Jałówki	„	120	„	180	„
Cielęta	„	28	„	60	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	136	„	146	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 4 kwietnia:

Pszenica	Kor.	10·65	do	11·40	za 50 kg.
Żyto	„	7·50	„	7·90	„
Jęczmień	„	8·25	„	9·75	„
Owies	„	9·35	„	10·35	„
Otręby pszenne	„	5·30	„	5·50	„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25	„

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.:

Kogut Jędrzej z Ł. (4 K.). Gałdas Michał z L. (1 K.), Bik Stefan z W. (1 K.), Krawczyk Piotr z Rz. (1 K.), Popielówna S. z Sz. (2 K.), Marya Gręboszowa z W., (2 K.), Wiethy Ignacy z R. (3 K.), Sakowski Franciszek z Ch. W. (2 K.), Cwynar Jan z W.D. (2 K.), Czerniecka Julia z S. (1 K.), Kamiński Wojciech z M. (1·35 K.), Korzeń Józef z W B. (1 K.), Wycisk Jan z K. (3 K.), Józef Szwagrzyk z Cz. (2 K.), Wojciech Żurawski z B. (2 K.), Straub Jan z A. (3 K.), Fajfer Marcin z J. (3 K.), Franciszek Indek z Z. (4 K.), Jan Honkisz z S. (3 K.), Franciszek Wilk z S. (2 K.), Antonina Olszowska z K. (3 K.), Jan Przybylak z Ż. (2·05 K.), Wawrzeczko Józefa z Ł. (3 K.), Nikodem Podgórski z Z. (4 K.), Jan Świętek z P. (3 K.), Jan Liskowicz z K. (2 K.), Chwistek Władysław z K. (3 K.), Bogusz Szczepan z P. (1 K.), Kubisztyk Florentyna z K. (1 K.), Wielkoszewski Ludwik z C. (3 K.), Alojzy Porembski z K. (3 K.), Malisz Jan z P. (3 K.), Paweł Grzebień z P. (2 K.), Teofil Tryczyński z N. (2 K.), Franciszek Trzyna z D. (1 K.), Józef Fryz z S. (4 K.), Józef Tomiczek z U. (1 K.), Marcin Tabor z M. (2 K.), Lucyan Żurek z D. (1 K.), Mieczysław Zaborski z L. (2 K.), Józef Namysłowski z B. (3 K.),

Zagadki do nagrody.

(Nadesłał Józef Sobczyk z B.).

1. SZARADA.

Trzecie pierwsze głowa trupia
Albo puhar pozłacany.
Całość w gromady się skupia
By gryźć, niszczyć pola, łany.

2. SZARADA.

Drugie pierwsze — moc, potęga,
Trzecia pierwsza niepodzielna.
Całość — zwierzątko; tam sięga,
Gdzie są myszy; w łowach dzielna.

3. SZARADA.

Czwarte pierwsze Raiffaisena,
Pierwsze czwarte znaczy — syczy,
Trzecie zaś zwierz zaginiony,
Drugie pędzi na wsze strony,
Całość siada na kościołach,
Ludzi budzi, księży woła,
Nie namazana skowyczy,
Jak upiór w dziełach Ibsena.

4. SZARADA.

Z trzeciej pierwszej tylko będzie
Jedna zgłoska; ta zaś siędzie
Na głowie tryumfatora.
Całość — święta; ta rozsuje
Perły w przecudnych kolorach —
Podziw dla nich każdy czuje.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania:
1) Vernego ***Piętnastoletni kapitan.***
2) Pieniążka ***Polska i Krzyżacy.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 15 kwietnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 13 *Roli*: 1. Arytmogryf: ***Dzwon Zygmunta***, 2. Szarada: ***Słowianie,*** 3. Szarada: ***Karabela,*** 4. Kwadrat magiczny: ***Post, orka, skon, tany.***

* * *

W oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

PP.: A. Buszydlik z W., A. Jesionek z Ch., J. Kulka z B. (wierszem), P. Gajoch z P. (wierszem), M. Pałac z O. (wierszem), J. Burghardt z S., J. Hirszberg z K., Kółko rolnicze z A., W. Wawszczak z K., W. Kolliński z M. S., I. Warzała z Ł. (wierszem), J. Kobylańska z B., A. Bezokówna z K. m., S. Ledziński z D. (wierszem), W. Halfar z Ł., Z. Bogdański z J., W. Stefański z G., W. Wołowiec z S. (wierszem), F. Żebrok z B., Czarnik J. z Rz., (wierszem), M. Dudek z Ż., J. Stelmach z Rz., P. Bielecki z D., W. Jaworski z Chm. (wierszem), J. Pawełek z O., L. Uryga z Ż. (wierszem), M. Synowcówna z Ś. g., F. Stankiewicz z Ł., A. Warchoł z Z., M. Gaweł z K., Iwański J. z T., Zieleźniak J. z Cz., K. Żyła z F., J. Kobylański z L. (wierszem), W. Pietrucha z Rz., Jan Moś z Cz., R. Kula z M. K., Andrzej Wróbel z K. (wierszem), Michał Pałac z O. (wierszem).

Pierwszą nagrodę p. t. ***W kraju mężnych Boerów*** wylosował **p. Ludwik Uryga** z Ż., zaś drugą p. t. ***Nie opuszczaj kraju rodzinnego*** **p. Władysław Wołowiec** z S.

Wydawcy Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego